

Zbigniew Czarnuch

Bitwa o bitwę pod Cedynią : kontrowersje na temat tożsamości kulturowej małych ojczyzn Nadodrza

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny nr 16, 387-397

2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Zbigniew Czarnuch
Witnica

Bitwa o bitwę pod Cedynią. Kontrowersje na temat tożsamości kulturowej małych ojczyzn Nadodrza

Po decyzjach wielkich mocarstw antyhitlerowskiej koalicji dotyczących przesunięć granic Polski na zachód, Polacy, aby poczuć się tutaj u siebie, stanęli przed problemem znalezienia dla odziedziczonych po Niemcach ziemiach ich kulturowej polskiej tożsamości. Wtedy to zorientowani nacjonalistycznie uczeni poznańskiego Instytut Zachodniego znaleźli formułę „Ziem Odzyskanych”, którą politycy wzbogacili o slogan „Byliśmy-Jesteśmy-Będziemy”. Takie zdefiniowanie naszej tu obecności trafiało wówczas do przekonania tych, którzy przywykli historię traktować w kategoriach prawa narodu do poszerzania granic swego państwa na obszar pokonanego wroga. Zwłaszcza, że były to ziemie przydzielone nam w zamian za utracone przez Polskę na wschodzie. Takie zdefiniowanie zaistniałej sytuacji satysfakcjonowało także tych, którzy przeżywali rozterki z tytułu naszego udziału w rozbiórce Niemiec i dokonanych tu rugów dotychczasowych gospodarzy oraz niszczenia ich kultury duchowej, a więc stosowanie metod, które zarzucaliśmy zaborcy. Argument, że przybyliśmy tu z wyroków sądów „sprawiedliwości dziejowej”, rozterki te wyciszał. Schemat poznawczy „narodowego powrotu” trafił na tak podatny grunt, że dochodzący do pełni władzy komuniści zapomnieli o głoszonych ponadnarodowych walorach swej ideologii, a polski Kościół o swej powszechności i katolickim uniwersalizmie. Zgodnie więc usuwano Niemców i likwidowano ślady ich pobytu. Pierwsi nie mając przy tym skrupułów naruszania zasady międzynarodowej proletariackiej solidarności deklarowanej we wszechobecnym hasle „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się” i hurtem, bezpardonowo zakwalifikowali swych niemieckich klasowych towarzyszy jako wrogów. Drudzy nie odczuwając wyrzutów sumienia z powodu usuwania z rodzinnych gniazd niemieckich braci w Chrystusie i łamania norm dekalogu – nakazu miłości bliźniego czy zakazu „nie kradnij”, gdy przywłaszczali sobie ich mienie. Kościół polski dopiero po dwudziestu latach ustami biskupów wypowiedział słowa wybaczymy i prosimy o wybaczenie”, podczas gdy w tym samym czasie rzekomi komuniści rezygnowali z zapałem z fundamentalnego w ich doktrynie internacjonalizmu, staczając się do poziomu apostołów rasistowskiego w swej istocie antysemityzmu rodem z Dmowskiego, wypędzając z Polski resztki uratowanych z holokaustu spolonizowanych Żydów reprezentujących elitę polskiej inteligencji. W czym – niestety – znaleźli milczące przyzwolenie, ba, nawet poparcie, szerokich

kręgów katolickich wyrażając osobliwą postać głoszonej przez Komitet Centralny jedności moralno-politycznej narodu.

Można tamte zdarzenia traktować w kategoriach cynizmu oraz zakłamania wobec wartości oficjalnie uznawanych w swych świętych pismach i jednych i drugich. Zapewne ludzi takich było wiele. Jednak generalizowanie takich postaw wydaje się być zbyt prostackie. Jestem świadkiem tamtej powojennej epoki i ówczesnym świadomym wyznawcą i popularyzatorem wykładni doktryny „Ziem Odzyskanych”. Do roku 1950 do pewnego stopnia byłem jej realizatorem w wersji katolickiej, a potem do roku 1968 w wersji komunistycznej. Dziś mądrzejszy o wiedzę o sobie i tajnikach zawiłości ludzkiego rozumu w jego sposobach przyswajania świata, wolę mówić o zniewoleniu umysłu ludzi mego pokolenia pułapkami społecznych, politycznych i intelektualnych mód naszej epoki, obowiązujących w tym czasie przepisów pełnionych ról społecznych, zabarwionych wzorcami kulturowymi środowiska w którym wyrastaliśmy, oraz mniej czy bardziej świadomie akceptowanymi panującymi stereotypami i paradygmatami. Mówię to, nie w celu usprawiedliwienia, ale by lepiej zrozumieć siebie oraz innych i wyciągnąć z tego wnioski na przyszłość. W moim przypadku, po tym pokoleniowym doświadczeniu i uświadomieniu sobie tej intelektualnej ułomności, wyciągnąłem wniosek: buduj w sobie postawę bezustannego kontrolowania podświadomie używanych przez rozum schematów poznawczych i staraj się wyzwalać od tych, które są w sprzeczności wobec normy poszanowania godności osoby ludzkiej.

Nie tylko buduj w sobie, ale także z pozycji obywatela reaguj publicznie na przejawy zachowań tych, którzy to prawo do zachowania swej ludzkiej godności każdego łamią. Jak choćby na wciąż popularne w naszym kraju oczekiwania przypisywane pełnieniu roli patrioty w jej nacjonalistycznym wcieleniu nakazującym za wieszczem wypisywać na swych sztandarach: *Zemsta, zemsta, zemsta na wroga. Z Bogiem i choćby mimo Boga*, pielęgnowanie pamięci doznanych krzywd i martyrologia, jako fundamenty narodowej tożsamości. Takie wymogi przepisu roli „prawdziwego Polaka” były w epoce walk o niepodległość pożądane i społecznie oraz politycznie ważne. Dziś, w epoce jednoczącej się Europy i budowania świata pokojowej współpracy narodów, stały się czynnikiem wstecznym, są przejawem społecznego zła i wymagają odrzucenia w imię poszanowania tej godności. Nie tylko godności człowieka – Polaka, zwłaszcza Polaka z „naszej partii”. Na takich samych prawach także człowieka – Niemca, człowieka – Rosjanina, człowieka – Cygana, człowieka ze szpitala w „wariatkowie”. Sprawiedliwość – TAK. Nienawiść, pogarda, lekceważenie, upokarzanie, opluwanie i przekreślanie cudzego życia w duchu praktyk, jak te stosowane wobec własnych rodaków przez wielu historyków z Instytutu Pamięi Narodowej – NIE. Dla ludzi zorientowanych lewicowo znaczy to troskę o przywołanie wartości międzynarodowej solidarności „świata pracy” ale już pozbawione trującego jadu klasowej, narodowej czy politycznej nienawiści. Dla ludzi o postawie pravicowej znaczy odwołanie się do tradycyjnych wartości chrześcijańskiej miłości bliźniego, ale w jej powszechnej, ogólnoludzkiej, a nie narodowej czy wyznaniowej wykładni. Wykładni wyzbytej także tęsknot do autokratycznego narzucania własnego światopoglądu wyznawcom innych poglądów w imię hasła „Bóg tak chce”, wspartego pychą uznania siebie za wybrańca namasz-

czonego przez Absolut. Tak jak to ma miejsce na przykład w niektórych polskich biurach samorządowych czy państwowych urzędów, które katolicycy posłowie czy samorządowcy zawłaszczyli, zawieszając na ścianach symbole wiary swojej doktryny wiary, dając tym samym wyraz lekceważenia zasady ponadwyznaniowości polskiego państwa i nie liczenia się z tymi obywatelami – podatnikami płacącymi na ich utrzymanie, którzy reprezentują inne wyznania czy ludzi budujących swój światopogląd na innych wartościach niż religijne dogmaty.

Tak więc w imię tej wartości naczelnej jaką jest każdy człowiek, w nowych realiach panujących w naszej części świata, nam, mieszkańcom Nadodrza, niegdysiejsza wykładnia „Ziem Odzyskanych” nabytych na mocy wyroków sprawiedliwości dziejowej z jej nacjonalistyczną interpretacją historii tej ziemi, już nie tylko nie wystarcza. Ona nam także nie odpowiada, bo jest brzemiennea piekłem rewizjonizmu. Jeśli bowiem po 700 latach mamy prawo do odzyskania jakiejś ziemi, to bądźmy konsekwentni i hajda na stepy, by przywrócić Najjaśniejszą „od morza do morza”. Oczywiście bez przyznawania takiego samego prawa Niemcom, Czechom, Austriakom czy Rosjanom, nie wspominając już o Ukraińcach, Białorusinach, bo ci się po prostu „nie liczą”. Jesteśmy więc tu nad Odrą nie dlatego, że pod Cedynią czy gdzie indziej liczne zastępy czy, jak kto woli niewielka drużyna Mieszkowych wojów, pokonały wraże siły odwiecznego wroga. Także nie dla tego że nasi żołnierze przy boku Armii Czerwonej ziemię tę nam zdobyli. Jesteśmy tu w następstwie przegranej przez hitlerowskie Niemcy wojny i z woli politycznej zwycięskich mocarstw. I nie są to „ziemie odzyskane”, ale „ziemie przyznane”, ziemię przydzielone nam z woli wodzów koalicji, którzy wyciągnęli wnioski z ostatnich dwu barbarzyńskich wojen toczonych w imię miłości i wielkości swych ideologicznych ojczyzn. Było oczywiście wiele różnych czynników wpływających na decyzje podjęte przez nich w Jałcie i Poczdamie. Wśród wielu także i ten odnoszący się do zbrodniczych konsekwencji politycznej mody na nacjonalizm, która zatruła umysły ludzi XIX i XX wieku. Mody która przeistoczyła się w historię i zawiodła do wzajemnego mordowania się ludzi w imię miłości do tego samego skrawka ziemi, dotąd przez wieki zgodnie uprawianego w duchu obyczajowych norm mądrej ludowej zasady dobrego sąsiedztwa z jego pokojową koegzystencją ludzi różnych nacji i światopoglądową tolerancją. Postanowiono więc by, przez ukształtowanie państw etnicznie jednorodnych, usunąć przyczyny występowania tego amoku plemiennego nienawiści i przeprowadzić operację etnicznej czystki na terenach pogranicza i ziemiach przyznanach. Operację która przybrała okrutną postać wypędzeń, zaboru mienia i odwetowego niszczenia śladów kultury dotychczasowych gospodarzy. O tym że myślenie takie nie było pozbawione pewnych racji udowodniły niedawne rzezie w rozpadającej się Jugosławii.

Dramatyzm tych zastosowanych tu nieludzkich rozwiązań może być tylko wytłumaczony politycznym klimatem tamtej epoki. Wzorcami „patriotycznych” zachowań stosowanymi przez hitleryzm z jego doktryną społecznego darwinizmu, który przecież miał tylu zwolenników w innych krajach, także w Polsce. Wytłumaczony być może również zniewoleniem umysłu paradygmatem okrucieństw rewolucji francuskiej jako formy przejawiania się „obiektywnych praw historii” w „boju ostatnim” po którym nastąpić miał raj bratniego związku ludów. Związek

taki powstał, ale nie z woli obiektywnych praw historii i partii których kierownicy uznawali się za nieomylnych wyrazicieli owych dziejowych praw. Także nie wyniku „nieuchronnych rewolucyjnych rzezi”, lecz z woli garstki dzielnych wizjonerów Francji, Niemiec i Włoch, popartych przez tych wszystkich, którzy z tej bezgranicznej miłości do wielkości swego narodu mierzonych temperaturą nienawiści do jej wrogów postanowili się wyleczyć. Postanowili – zrobili. Pokojowo. I tak powstał związek bratni państw europejskich opierających swą wielkość nie na szafowaniu krwią swych obywateli podczas akcji przesuwania linii granicznych słupów. Nie na sile swych batalionów, ale na sile sztuki gospodarowania, wyścigu inicjatyw w dążeniu do godnego życia, podnoszenia poziomu cywilizacyjnego i kulturalnego swych narodów oraz wyścigu w gospodarczej pomocy innym w osiągnięciu tego celu.

Przed dwudziestu laty mądrze, z poszanowaniem godności partnera okrągłostołowego dialogu, zademonstrowaliśmy wolę przyłączenia naszego kraju do obozu budowniczych takiego świata ludzi sobie bliskich. Tutaj nad Odrą w stosunkach polsko-niemieckich pomiędzy obecnymi i dawnymi mieszkańcami tych ziem zrobiono to wcześniej. Jeszcze w latach 60. i 70. gdy do polskich już chat nieśmiało pukali dawni niemieccy ich gospodarze, gościnnie ich podejmowali, co w tylu przypadkach, zaowocowało wieloletnią przyjaźnią. Po roku 1990 te prywatne kontakty przybrały postać współpracy organizacji ziomkowskich z lokalnymi stowarzyszeniami i władzami samorządowymi we wspólnej trosce o odziedziczone przez nas Polaków, a jeszcze do końca nie unicestwione cmentarze, pomniki, zabytki, o pamięć niemieckich pozytywnych dokonań.

Te kontakty z dawnymi mieszkańcami Nadodrza i dotarcie za ich pośrednictwem do skarbnic ich „Heimatkunde” pozwalają nam coraz wnikliwiej poznawać nie tylko specyfikę przeszłości zachodnich i północnych ziem Polski, ale także odrębności ich części składowych – małych ojczyzn i dostrzegać jak odmiennie kształtowały się ich losy i dostrzec jak trudno jest mówić o dziejach „Ziem Odzyskanych” w ogóle, bez uwzględnienia historycznej lokalnej specyfiki. Ta wyprawa w przeszłość jest istotna dla uświadomienia sobie naszej kulturowej specyfiki i wynikającej z niej wniosków. Zwłaszcza w epoce, w której kategoria „promocji” swego miasta czy regionu nabrała tak wielkiej rangi jako przejaw wzrostu potrzeby podkreślenia swej podmiotowości w epoce kształtowania się społeczeństwa obywatelskiego. Także jako reakcja na miałość i kosmopolityzm kultury masowej oraz zenujący poziom świata polskiej polityki reprezentującej ojczyznę dużą. Poziom permanentnej wojny na górze partnerów politycznej areny prowadzonej tak między sobą jak i w postaci demonstrowania wrogości do Niemców czy Rosjan, w obliczu której nam ludziom małych ojczyzn przypada rola przygranicznych ambasadorów polityki braterstwa narodów i budowniczych mostów, które wciąż w stolicach niektórzy próbują burzyć. Dziś częściej w Warszawie niż w Berlinie.

Spotykamy się z próbami przeniesienia tej politycznej „wojny na górze” z ich grą na najniższych instynktach etnicznej i politycznej wrogości na poziom społeczności lokalnych. Jej dalekie echa znajdziemy poniżej w tekście, w którym zawarłem omówienie bardzo interesującej i potrzebnej debacie, jaka przed dwoma

lasy miała miejsce w Chojnie i Cedyni. Optymistyczne jest to, że są to tylko echa dalekie.

Debata cedyńska

Dyskusja o której zamierzam w tej części tego artykułu opowiedzieć miała miejsce na lamach czasopisma „Gazeta Chojeńska” w miesiącach od sierpnia do listopada roku 2007. Była pięknym przykładem podjęcia próby wyzwalania się z niewoli wciąż panujących, niegdyś ważkich dziś szkodliwych, schematów poznawczych odnoszących się do dziejów małej ojczyzny zlokalizowanej nad Odrą. Zapoczątkował ją artykuł redaktora naczelnego gazety Roberta Ryssa, zatytułowany: „Czy bitwa pod Cedynią była pod Cedynią?” Autor powołując się na historyka Jana M. Piskorskiego i oraz etnologa i filologa Aleksandra Brücknera, stwierdził, że wiadomości o bitwie oparte na skąpej kilkudzaniowej bazie źródłowej kronikarskich wzmianek u Thietmara i Brunona z Kwerfurtu, stwarzają przesłanki do stawiania znaków zapytania w miejscach dotąd używanych wykrzykników czy kropek. I tak po pierwsze nie mamy pewności czy łańskie Cidini to Cedynia, a nie na przykład Siedzina lub Sitno – dawne miejscowości terytorium plemion Połabskich, na którym podczas wypraw krzyżowych na niewiernych pobratymców często bywali wojowie Mieszka I, oraz gdzie książę państwa gnieźnieńskiego szukał także okazji do powiększania obszaru swego władztwa. Po drugie nie wiadomo czy była to bitwa zastępów rycerzy w służbie cesarza z armią wojów Piasta czy tylko potyczka z niewielkim oddziałem nieposłusznych swemu władcy niemieckich rycerzy. I po trzecie czy wodza naszego rycerstwa brata księcia, który ma tu nad Odrą wzgórze swego imienia, odnotowanego jako Cidibor, słusznie nazywamy Czcbiborem czy raczej powinno się mówić Zdziborem? Redaktor Ryss zamieniając pewniki na hipotezy, wskazał także na związki naszej potocznej wiedzy o bitwie pod Cedynią i faktu wzniesienia tu pomnika, z problemami politycznymi epoki obchodów jubileuszu tysiąclecia państwa polskiego. Był to okres, w którym władza wewnętrzne problemy krajowe rozgrywała antyniemiecką kartą odwiecznego „Drang nach Osten”, zrećnie wiążąc rok 972 ze stoczoną obok krwawą bitwą wojska polskiego z armią nazistowskich Niemiec w roku 1945, co tak tragicznie dokumentuje cmentarz w Siekierach. Autor zakończył swój tekst słowami: *Czy cedynianie mają w związku z tym zapomnieć o bitwie? Oczywiście nie! W Polsce wszystkim Cedynia kojarzy się z tamtym wydarzeniem i niech Tak zostanie. Rzecz tylko w tym, by ten temat oczyścić z dotychczasowych fałszów i naleciałości politycznych, propagandowych, ksenofobicznych. Wszak – stwierdza dalej Robert Ryss – jak pisał historyk Kazimierz Myśliński, „to tylko dzięki swym związkom z margrabiami udało się książętom obronić suwerenność państwa polskiego” [...] Bitwa pod Cedynią to pomysł na autentyczną, nie naznaczoną zafalszowaniami kotwicę tożsamości regionalnej. Chodzi jednak o to, by zaprzestać doszukiwania się czystości etnicznej i prapolskości tych ziem [...] lecz skupić się na kresowości, na postrzeganiu tego regionu jako wieloetnicznego i wielokulturowego tygla*

Na artykuł redaktora Ryssa obszernym kontratakiem zareagował obrońca istniejącej tradycji, radny i pracownik Chojeńskiego Centrum Kultury Sławomir Błęcki. Tekst nosił tytuł: *Bitwa o bitwę pod Cedynią*. Autor w obszernym tekście powołał się na historyków identyfikujących Cedynię z Cidini z kroniki biskupa Thietmara. Między innymi na profesora Feliksa Konecznego, pisząc w konkluzji: *Dlaczego mielibyśmy odrzucić piękną tradycję bitwy, stojącej u początku ponad 1000-letniej sekwencji wydarzeń i uporczywych wysiłków pokoleń budujących polską państwowość? Kogo razi piękny monumentalny pomnik wyobrażający orła spoglądającego ponad Odrą na zachód, usytuowany na wzgórzu Czсібora? Jeśli bitwa faktycznie rozegrała się w tych okolicach- jego lokalizacja jest idealna. A jeśli rozegrała się gdzie indziej? W Krakowie stoi Pomnik Grunwaldzki, ufundowany w roku 1910 przez Paderewskiego [...] Robert Ryss proponuje sprowadzenie jednego z ważniejszych w dziejach Polski wydarzeń do wymiaru bitki nieświadomych politycznie barbarzyńskich watażków, a obchody jej rocznic do kolorowego, pozbawionego głębszych znaczeń lokalnego jarmarku.*

Na tekst Błęckiego ostro zareagował historyk z Uniwersytetu Szczecińskiego Radosław Skrycki artykułem *Rewidować fałszywą tradycję*, zarzucając mu wyraźne zaangażowanie ideologiczne które wzięło górę nad rzeczową wymianą argumentów. *Autor – pisze Skrycki – używa cytatów z Paderewskiego i Konecznego [...]. Pomnik Grunwaldzki odsłonięty przez Paderewskiego [...] stanowił inicjatywę kanapowego ugrupowania okołoendeckiego – Polskiego Związku Narodowego, zaś Koneczny to nie „światowego formatu filozof historii” lecz jeden z głównych teoretyków obozu narodowego w dwudziestoleciu międzywojennym.*

Skrycki pisze o konieczności dociekań na temat kulturowej tożsamości „Ziem Odzyskanych” postulując: *Nie uciekniemy od niemieckiej przeszłości tego regionu, a swoją przyszłość możemy zbudować w oparciu o nią. Nie zbudowaliśmy tu wielu trwałych uniwersalnych znaków, dużo więcej zaadoptowaliśmy. Nie musimy już tworzyć fałszywych narodowych mitów, a wszechpolskie rozumienie patriotyzmu przynosi same szkody, wystawiając nas na pośmiewisko sąsiadów i Europy. Odejźmy od jarmarcznego tromtadactwa na rzecz zdrowego spojrzenia na własne dzieje, budując nowoczesną przyszłość bez fałszu i nienawiści do obcych.*

Do dyskusji włączyła się Saba Keller w *Widuchowej*, przewodnicząca stowarzyszenia Ośrodek Inicjatyw Społecznych i Ekologicznych „Stary zagon”. Tekst nosi tytuł *Kto się bije o bitwę pod Cedynią*. Autorka podejmuje polemikę z Sławomirem Błęckim, zarzucając mu ahistoryzm, gdy tamte bitewne wydarzenia z X wieku uznaje za starcie Polaków z Niemcami, podczas gdy państwa obu narodów dopiero się tworzyły. Pojęcia „Polska” Mieszko I jeszcze nie znał, a cesarz Otton I określał się władcą rzymskim. Dla Sławomira Błęckiego bitwa pod Cedynią, czy jej mit, wyznacza naszą tożsamość tej odzyskanej polskiej ziemi.: *Rozejrzyjmy się dokoła nas – pisze Saba Keller – Gdzie są w naszym regionie dowody na „odwieczną” polskość tych ziem? Jak słusznie ludzie mówią, domy mamy tu w większości ponemieckie, Odrę uregulowali Prusacy, w alejach rosną jeszcze ponemieckie jabłonie i grusze. Jakim wobec tego dowodem na polskość tych ziem ma być bitwa pod Cedynią, która miała miejsce w roku 972 ?* Autor konkluduje: *Przestańmy być „obrońcami” a zostanemy sprawnymi gospodarzami. Pomogą nam w tym kolorowe jarmarki i nie*

będą pozbawione znaczeń, jeśli nie będą kreowały „gorejących wojennych wici”, a na przykład „goreje” – czyli wymyślone przez nasze gospodynie płonące pierogi. Będą wyrazem dzisiejszej, żywej polskości tych ziem.

Do debaty włączył się prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Cedyńskiej Andrzej Kordylasiński tekstem zatytułowanym *A jednak w Cedyń (Cidini)*. Autor bierze stronę S. Błęckiego wzbogacając jego argumenty w sprawie tutejszej lokalizacji bitwy powołując się na badania polskich archeologów, w tym prof. Władysława Filipowiaka, a także na zdanie prof. Piskorskiego, przyznającego, że większość polskich historyków także opowiada się za lokalizacją bitwy właśnie w Cedyń. Słowa *Thietmara* – pisze Kordylasiński – są precyzyjne i mówią, gdzie, kiedy, kto, jak i z kim zwyciężył. Autor przyznaje że, że bitwa została wykorzystana w latach 60. i 70. do propagandy antyniemieckiej i mit ten zdaje się nadal tu i ówdzie funkcjonować do dziś. Swe wywody kończy słowami: *Póki co za lokalizacją Cidini nad dzisiejszą Odrą przemawiają dane archeologiczne, historyczno-wojskowe i również językowe.*

Wzmocniony argumentacją Kordylasińskiego ponownie głos zabrali Sławomir Błęcki artykułem zatytułowanym tryumfalnym: *Bitwa o Cedyń wygrana – walczmy o więcej.* Zaczął od tezy, że w toczącej się dyskusji nie chodzi o to czy bitwa tu miała miejsce, bo mediewiści spór dawno rozstrzygnęli. Chodzi o problem zupełnie inny, dla którego historyczna scenografia jest tylko przykrywką. *Chodzi o ów „narodowy mit”, czy też „fałszywy mit” czyli prawdziwą płaszczyznę boju.* I dalej: *Skrycki żąda by „zrewidować fałszywą tradycję”, a innym chodzi o to by „porzucić myślenie w kategoriach państwowych, a skupić się na tożsamości regionalnej, kresowej”, bo państwa są przeżytkiem, który trzeba odrzucić w obliczu Unii Europejskiej postulującej „skupienie się na regionalizmie”.* W dalszych wywodach Autor wyjaśnia błędność i szkodliwość takiego rozumowania zapatrzeniem się na Niemców, którzy najpierw są Bawarczykami czy Brandenburczykami, potem dopiero Niemcami podczas gdy my najpierw jesteśmy Polakami, a potem dopiero Wielkopolanami czy Mazowszanami. Tekst kończy ujawnienie się Autora jako reprezentanta politycznego nurtu odnoszącego się z wielkim szacunkiem do zasług polskiego obozu narodowego.

Odpowiedzią na drugi tekst Sławomira Błęckiego był kolejny artykuł Radosława Skryckiego zatytułowany *Upiór Dmowskiego nadal straszy*, w którym do swej wcześniejszej wypowiedzi dorzucił garść kolejnych zarzutów pod adresem współczesnych kontynuatorów ksenofobicznych idei narodowej demokracji.

Do debaty włączył się wywodzący się z tych okolic doktorant Uniwersytetu Szczecińskiego Paweł Migdałski. W swym artykule noszącym tytuł: *Ślady przeszłości Cedyń nadzieją na przyszłość* po omówieniu stanowisk wielu autorów, wyraził zdanie, że sprawę lokalizacji miejsca bitwy traktować należy w kategoriach hipotez i nie stawiać znaku równości pomiędzy Cedynią a Cidini. Gdyby jednak nawet naukowcy jednoznacznie udowodnili, że bitwa miała miejsce gdzie indziej, nie znaczy to, by ta miejscowość miała się pozbyć pomników, które stać się mogą symbolami czasów, w których powstały. Nie należy jednak przesadzać z nadzieją, że mit bitwy stanie się czynnikiem rozwoju gospodarczego gminy. Tu trzeba go obudować o nowe, bardziej neutralne politycznie koncepcje promocji mikrore-

gionu. Zatem należy zaprzestać sporów o samą bitwę i zatroszczyć się o stworzenie i wylansowanie tej nowej koncepcji. Autor zakres tematyczny debaty poszerzył o wątek tradycji Ludowego Wojska Polskiego związanej z pobliskim polem bitwy w roku 1945.

Paweł Migdalski w tym samym roku 2007 opublikował skrót swej pracy magisterskiej poświęconej nadodrzańskim miejscowościom, w których w sposób szczególnie kultywowana jest pamięć czynu zbrojnego Polaków, zarówno czasów bitwy pod Cedynią jak i udziału polskich żołnierzy w ofensywie odrzańskiej Armii Czerwonej. Książeczka nosi tytuł *... w tej strażnicy Rzeczypospolitej – Rejon Pamięci Narodowej Cedynia-Gozdowice-Siekierki*. Autor na 89 stronach tekstu przedstawił wyniki swych archiwalnych poszukiwań mających na celu zrekonstruowanie procesu kształtowania się na dopiero co pozyskanych poniemieckich ziemiach polskiej narodowej tożsamości budowanej na tradycjach czynu zbrojnego. Pisze o spornych problemach związanych z lokalizacją bitwy pod Cedynią oraz analizuje etapy powstawania koncepcji tutejszego Rejonu Pamięci Narodowej, akcentując polityczne jego podteksty.

Rejon składa się z trzech części. Pierwszy tworzy obszar okolic Czelina upamiętniający ustawienie tutaj 27 lutego pierwszego polskiego słupa granicznego nad Odrą. Dzieła dokonali żołnierze Samodzielnego Batalionu Pontonowo-Mostowego, jednostki walczącej w oddziałach Armii Czerwonej. Obszar drugi rejonu obejmuje około 10 kilometrowy odcinek frontu obejmujący Gozdowice, Łysogórki, Siekierki i Starą Rudnicę, gdzie jednostki I Armii Wojska Polskiego w połowie kwietnia forsowały Odrę, tocząc kilkudobową bardzo krwawą bitwę na lewym jej brzegu.

Obszar trzeci składa się z Osinowa Dolnego, gdzie polscy żołnierze I samodzielnej Brygady Moździerzy w szeregach oddziałów radzieckich pod koniec marca 1945 roku likwidowali ostatni niemiecki prawobrzeżny przyczółek, oraz z Cedyni z jej legendą bitwy, jaka miała tu być stoczona w X wieku. Autor szczegółowo relacjonuje dzieje powstania nekropolii I Armii w Siekierkach, okoliczności powstawania wojskowych muzeów w Gozdowicach i Siekierkach, oraz wznoszenia i poprawiania pomników stawianych we wszystkich miejscowościach nadodrzańskiego Rejonu Pamięci Narodowej. Dokumentuje także organizowane tu manifestacje patriotyczne śledząc przemiany w ocenach walki występujących w przemówieniach czy listach polityków nadsyłanych z tych okazji, ze znamiennymi dla nowej orientacji politycznej słowami premiera Jerzego Buzka z roku 2001: *Dowództwo radzieckie szafowało krwią żołnierzy polskich zatem Siekierki to miejsce chwały, ale nie miejsce tryumfu*.

Stroniąca od pochopnych sądów wartościujących praca Pawła Migdalskiego znakomicie uzupełnia debatę o Cedyni ukazując proces przewartościowania pielęgnowanej tu w czasach Polski Ludowej pamięci historycznej w duchu słynnego dzieła poznańskiego uczonego *Polska-Niemcy Dziesięć wieków zmagają*. Paweł Migdalski w konkluzji swej pracy pisze: *Nawet jeśli antyrewanżystowska ideologia, która stała się fundamentem jego (Rejonu Pamięci Narodowej) istnienia straciła – jak się wydaje – obecnie moc [...] nie możemy pozwolić zapomnieć o tym miejscu, ani o upamiętnionych tu wydarzeniach*.

Kolejny głos zabrał Piotr Michałowski, prezes szczecińskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, pracownik naukowy Uniwersytetu Szczecińskiego. Jego artykuł nosi tytuł: Tożsamość spod Cedyni a etnogeneza. Autor zgadza się z tymi, którzy zwracają uwagę na anachronizm polegający na przenoszeniu pojęć zrodzonego w dziewiętnastym wieku myślenia kategoriami państw narodowych na okres powstawania państwa Mieszka I, kiedy o narodach jeszcze nie może być mowy. Szukanie źródeł naszej współczesnej tożsamości w średniowieczu jest nieporozumieniem i manipulacją, wyniku której wycieramy z pamięci wielonarodową i wielowyznaniową Polskę Jagiellonów i Rzeczypospolitą Obojga Narodów. W tej sytuacji mówienie o „czystej polskości prawdziwych Polaków” jest przejawem ignorancji bowiem etnogeneza naszego narodu jest wypadkową krzyżowania się wielu czynników. etnicznych i kulturowych Poza tym budowa naszej tożsamości nie może opierać się wyłącznie na przeszłości, bo zapatrzenie w groby i zabytki określać można jako lęk przed przyszłością.

Do debaty włączył się Krzysztof Kolanowski z Ruchu Newropeans Polska, działającego na Uniwersytecie Europejskim Viadrina we Frankfurcie nad Odrą. Jego tekst nosił tytuł: Bitwa pod Cedynią rozegrała się w Europie. Autor pominął wątki historyczne sporu, a skupił się na symbolicznych aspektach bitwy. Zaczął od zwrócenia uwagi na to, że w latach Polski Ludowej wydobyte ze średniowiecznych źródeł faktu bitwy i nadanie mu takiego dużego symbolicznego znaczenia, że utrwalił się w powszechnej świadomości Polaków jako znak rozpoznawczy Cedyńni, znakomicie się wpisywało w kontekst ówczesnej polityki państwa z jego akcentami antyniemieckimi. Dziś stajemy przed problemem by symbolikę tego miejsca wpisać w realia polityczne naszej epoki. Kolanowski przyznaje racje Skryckiemu, że polska tożsamość na ziemiach zachodnich budowana jest dopiero od 1945 roku. W sprawie naszej obecności na tych ziemiach pisze: *Powojennych wypędzeń czy wysiedleń nie da się niczym moralnie uzasadnić*. Nie znaczy to jednak, że on sam jest zwolennikiem przywracania status quo sprzed roku 1945: *wolałbym – pisze – cynicznie stwierdzić że mieszkańcy dzisiejszej Polski Zachodniej nabyli moralne prawo do swej ziemi poprzez trwające ponad pół wieku „zasiedzenie”*. W zarysowanej w dyskusji alternatywie dróg poszukiwania tożsamości kulturowej regionu: poprzez akcentowanie wyostzonego polskiego patriotyzmu czy też podkreślanie wielokulturowości pogranicza, Autor opowiedział się za jej trzonym drugim. A spór o to czy tożsamość narodowa ma pierwszeństwo nad tożsamością regionalną uważa za bezprzedmiotowy, bowiem obie tożsamości są częścią składową naszej świadomości, a ich kolejność zależy od wyznawanego osobistego systemu wartości. Wywody kończy zdanie: *Zapewne wizja narodu polskiego niebudującego swej tożsamości w opozycji do sąsiadów jest dla niektórych poważnym mankamentem dzisiejszego europeizmu. A przecież „polskość” i „europejskość” wcale się nie wykluczają*.

Dyskusję na łamach gazety podsumował Robert Ryss, obszernym jej omówieniem w artykule Co osłabia patriotyzm, a co go wzmacnia? Na wstępie podziękował Sławomirowi Błęckiemu za polemiczny tekst wobec jego artykułu, co wywołało ciekawą i potrzebną wymianę zdań na tak istotny temat jakim jest formowanie się kulturowej tożsamości regionu. Jej potrzebę Autor podbudowuje cytatem z profesora Janusza Tazbira, który pisał, że naczelnym zadaniem humanistyki zwłaszcza

historiografii jest *burzenie mitów, troskliwie pielęgnowanych i bronionych przez cały wiek XIX*, kiedy ich ożywianie w warunkach zaborów było formą ratunku przed utratą narodowej tożsamości Polaków, a dziś utrudniają nam unowocześnienie naszego kraju. Zwycięstwo rycerstwa polskiego nad niemieckim, dowodzone przez Hodona, jest faktem – dowodzi dalej Ryss – ale kontekst ówczesnych stosunków politycznych w relacjach słowiańsko-germańskich był zupełnie inny niż dziś się potocznie uważa. Paweł Jasienica zajmując się opanowaniem przez Mieszka Krakowa, Wrocławia i Opola pisał w „Polsce Piastów”: *Uwagi i zadumy godne, że wojna o te kraje toczyła się głównie z Czechami, którym znowu przyszli z pomocą Wieleci, natomiast sprzymierzeńcami księcia polskiego byli Niemcy*. Ryss rozwija ten wątek przytaczając kolejne fakty. W latach 985-86 Mieszko bierze udział w wyprawach cesarza Ottona III przeciw słowiańskim Wioletom. Potem Chrobry po roku 995 umacnia swe krótkie panowanie nad Pomorzem, współdziałając z Ottonem w ataku na Wioletów. Bitwa pod Cedynią nie była więc w tamtym okresie typowym przejawem stosunków rodzącego się państwa polskiego wobec państwa tworzonego przez margrabiów i dlatego nie może służyć jako symbol, choć wielu go za taki uważa. Redaktor „Gazety Chojeńskiej” zamykając dyskusję stwierdził: *Rewidowanie mitów i odfalszowywanie własnej historii nie tylko nie osłabia świadomości narodowej, lecz ją wzmacnia, tezę podbudowując cytatem z Normana Daviesa: Wasz stosunek do historii to mieszanina kompleksów, nieuzasadnionej dumy i pretensji do świata i w efekcie Polska-zamiast być podziwiana- staje się krajem śmiesznym*.

Kropką nad „i” tej interesującej debaty było jej przeniesienie się z łamów gazety do sali dawnego klasztoru cysterek w Cedyni, gdzie zebrało się pod koniec listopada kilkadziesiąt osób, w tym autorzy omówionych tekstów oraz grono regionalistów i mieszkańcy tego niespełna 2 tysięcznego miasteczka. Relacje o tym spotkaniu autorstwa Tadeusza Wójcika redakcja zatytułowała: *Co po bitwie? Dyskutanci podjęli wiele wątków. Padały na przykład zarzuty, że niektórzy z autorów drukowanych tekstów nie są emocjonalnie związani z tą ziemią, skoro poddają w wątpliwość jej największy atut czyli bitwę. Zarzucano im próby jej kradzieży. Redakcję posądzano o sztuczne rozdmuchanie sprawy dla zwiększenia poczytności. Burmistrz Adam Zarzycki wyraził jednak zadowolenie że debata stała się znakomitą okazją do promocji gminy co może zaowocować poprawą w wymiarze gospodarczym*.

W sprawach merytorycznych ktoś wyraził żal, bo przyszedł tu, by usłyszeć w końcu odpowiedź na pytanie czy bitwa pod Cedynią była pod Cedynią czy nie, a tymczasem obecny na spotkaniu prowadzący tu badania archeologiczne prof. Władysław Filipowiak powiedział, że odwołując się do języka matematyki prawdopodobieństwo można określić na 3/4. Gdy któryś z dyskutantów wyraził szczerze, że jeszcze w pełni nie czuje się na tej ziemi u siebie- sala zareagowała nieprzyjaznym pomrukiem.

Od lat śledzę z zainteresowaniem proces naszego wrastania w ziemię Nadodrza i staram się podążać ścieżkami na których regionaliści tutejszych małych ojczyzn poszukają kulturowej tożsamości swych lokalnych społeczności i próbują znaleźć dla nich symbole identyfikacji i znaki rozpoznawcze. Szukają ich zazwyczaj w historii. Tam gdzie tak się dzieje trzeba mieć na uwadze, aby była to przeszłość dla przyszłości, a nie kult przebrzmiałych mitów. W tym naszym poszukiwaniu punktem odniesienia powinno być zło ostatniej wojny z jego ostrzeżeniem: oto do czego może doprowadzić narodowy egoizm i chorobliwa miłość do ojczyzny, kiedy jednostkę redukuje się do funkcji *kamienia rzuconego na szaniec* broniący interesów wąskiej grupy klasy panującej uznającej się za emanację narodu czy w imię chorobliwych mani prześladowczych oszalałych na punkcie swej wielkości polityków. Uważam, że nasze działania powinniśmy zorientować na wizję jutra Europy. Europy narodów, demokratycznego społeczeństwa otwartego, eliminujących nienawiść do obcych. Przejaw rodzenia się takiego społeczeństwa obywateli czujących się jednocześnie Polakami i Europejczykami, mogliśmy prześledzić zapoznając się z debatą o tożsamości Cedyni i jej okolic. Debatą, która poza lokalną specyfiką, ujawniła całe bogactwo problemów ogólniejszych z jakimi przychodzi nam mieszkańców ziem zachodnich borykać w każdym innym środowisku w poszukiwaniu odpowiedzi na wspólne dylematy: Piastowskie Ziemie Odzyskane czy Ziemie Przydzielone? Wypędzenie i wydziedziczenie poprzednich ich gospodarzy było aktem sprawiedliwości dziejowej czy tępym odwetem niehumanitarnej przemocy zwycięzców nad pokonanymi? Mamy w imię bezpiecznej przyszłości naszych dzieci tu nad Odrą postawić na wyostrzony państwowotwórczy patriotyzm Rejonu Pamięci Narodowej Czelin-Gozdowice-Siekierki-Cedynia czy na pogranicze jako miejsce spotkania kultur? Zaangażować się w obronę niezawisłości narodowego państwa czy w trosce o zapobieżenie etnicznych rzezi na pograniczach opowiedzieć się za wizją Stanów Zjednoczonych Europy z własnym rządem?

Debate ujawniła także, iż sam jej główny problem czyli zdefiniowanie kulturowej tożsamości regionu czy lokalnej społeczności, interesuje bardzo wąski krąg reprezentantów inteligencji. Przede wszystkim humanistów. Tu gorzka konstatacja: to także inteligencja w XIX i XX wieku niosąc w lud kaganiec oświaty z ideałami narodowego państwa i jego umiłowania, zniszczyła lokalną obyczajowość z jej normami koegzystencji różnych grup etnicznych i tolerancji wobec odmiennych wyznań... Ekspiacja? *Wybaczymy i prosimy o wybaczenie?* Jeśli tak, to znaczy że wreszcie te dwie ostatnie światowe wojny czegoś nas inteligentów nauczyły.